



# Świetlista wys

Są krajobrazy, pory dnia czy ulotne chwile, których widok dostarcza cudownej rozkoszy patrzenia i odczuwania. Niektóre piękne zjawiska trwają zaledwie moment, po czym znikają bezpowrotnie. Jednak niektóre z nich, te dostrzeżone przez człowieka, mogą znaleźć bezpieczne lokum w jego pamięci, stając się tym, co nazywamy wspomnieniem. Mogą tam trwać bezpiecznie latami i być pielęgnowane jak najcenniejsze skarby. Niektóre z nich przywołujemy czasem dla przyjemności. Niektóre same przepychają się do świadomości i z wielkim uporem domagają się jakiegoś szczególnego potraktowania... Tak właśnie było ze mną i obrazem niesamowitego słonecznego światła przedostającego się do dna ciemnego świerkowego lasu...

Nie wiem, czy to za sprawą szczęśliwego przypadku, czy też przemyślnego boskiego planu przyszło mi urodzić się na pięknym i dzikim Podlasiu w Puszczy Białowieskiej. Wychowywana w wielkim lesie niczym „dzikie dziecko” z pasją odkrywałam prawa natury i nieustannie zachwycałam się jej cudownymi dziełami. Chętnie je uwieczniałam, tworząc setki rysunków. Jako nastolatka rozstałam się nagle z dziecięcą pasją rysowania. Wciąż rozkochana w lesie realizowałam jednak pasję przyrodniczą. Przemierzając leśne ścieżki dzień po dniu chłonełam dźwięki, zapachy i obrazy. Niektóre z nich wprawiły mnie w stan ukojenia, inne niespodziewanie porażały swoim pięknem...

Pamiętam bardzo dobrze ten październikowy poranek, gdy stałam się świadkiem takiego właśnie oszałamiająco pięknego zjawiska. Choć jest to pora, gdy staje się jasne, że lato odeszło bezpowrotnie, bardzo ją lubię. Słońce wstaje wtedy późno i cały spektakl poranka trwa niemal do południa. Świt tego dnia był zimny. Las zionął chłodem po nocnym przymrozku i czekał w milczeniu na ogrzewające promienie słońca. To, choć niewidoczne w gestwinie, wznosiło się już już wolno ponad horyzont. Dno lasu tonęło wciąż w ciemnościach...

Z godziny na godzinę powietrze stawało się coraz cieplejsze i wśród leśnego runa można było dostrzec pierwsze małe plamy słonecznego światła, któremu z trudem udało się przeniknąć przez gęszcz konarów i gałęzi. Znalazłam się w starym świerkowym lesie, który kocham ponad wszystkie rodzaje lasu. Powietrze pachnie tu żywicą i igliwem, a majestatyczne, wiecznie zielone świerki koją cichym poszumem wiatru w swych koronach.




 Wyspa

Zostawiłam za sobą samochód i zeszałam z drogi w małą ścieżkę, która bierze początek przy wielkim starym mrowisku. Miałam nadzieję podpatrzeć lisy, które w tej okolicy w piaszczystym pagórku od lat miały swoje lokum. Jednak nie spotkałam wtedy lisa... Dostrzegłam coś zupełnie innego, co przyciągnęło moją uwagę. Pośród świerkowej gestwiny zobaczyłam jasne słoneczne promienie, którym udało się przedostać głębiej do wnętrza lasu. Ruszyłam w ich kierunku. Minęłam gęstą świerczynę, by stanąć wreszcie na skraju maleńkiej luki, która skąpana w słońcu wyglądała jak słoneczna wyspa! Niczym niepowstrzymane światło wdarło się tu niespodziewanie i odważnie oblewało borówkowe tany. Dzięki cudownemu słonecznemu blaskowi ten maleńki fragment lasu wydawał się zupełnie nierzeczywisty... Stałam urzeczona jego pięknem... Świerki na granicy światła i cienia zyskały piękne jednostronne świetliste kontury, dzięki którym każda najmniejsza nawet gałązka stała się doskonale widoczna. Drzewa rosnące po przeciwnej stronie świetlistej wyspy prawie zupełnie skryły się w mroku, co robiło wrażenie jeszcze większej tajemniczości i baśniowości tego zjawiska. Nie mogłam oderwać wzroku...

Ten widok wrył mi się w pamięć i powracał do świadomości często mimowolnie. Wyraźnie domagał się szczególnego potraktowania. Wkrótce zrozumiałam, że te szczególne potraktowanie, to podzielenie się nim z innymi. A droga do tego wiedzie tylko przez sztukę. Doznałam przemożnej chęci powrotu do tworzenia...

Po raz pierwszy kupiłam zestaw farb olejnych i akrylowych oraz białe płótno gotowe na moje pomysły. Zwątpienie we własne możliwości i umiejętności przyszło nieoczekiwanie. Zanim pędzel dotknął bieli lnu. Czas mijał i niemoc twórcza ogarniała mnie coraz bardziej. Uznałam, że potrzebuję wsparcia ze strony kogoś, kto „zna się na rzeczy”. Zapakowałam więc swój sprzęt malarski do samochodu i udałam się na korepetycje do znajomej malarzki, która poza wykształceniem oraz talentem artystycznym posiada jeszcze jedną nieocenioną zaletę – wielką życiową mądrość. Korepetycje były niespodziewanie krótkie i podczas ich trwania nie sięgnęłyśmy po pędzle nawet raz. Moja przyjaciółka-malarka poleciła mi tylko jedno: abym malowała po swojemu, tak jak mi tylko samej przyjdzie do głowy, niezależnie od znanych technik, metod czy stylów. Pokładała wtedy we mnie o wiele więcej wiary, niż miałam ja sama.

Po kilku dniach przemyśleń podjęłam wreszcie pierwszą próbę namalowania obrazu. Rzeka w listopadowe zimne popołudnie. Efekt był zaskakujący! Udało mi się odtworzyć atmosferę ponurej dżdżystej pogody. Choć nie wszystko wyszło mi tak doskonale, jak to zaplanowałam, cały obraz urzekł mnie za każdym razem, gdy nieśmiało na niego spoglądałam. Poczułam nowy zapach!

Kolejne obrazy malowałam już odważniej, wybierając coraz trudniejsze tematy. Wciąż jednak nie czułam się dość silna, by zmierzyć się ze wspomnieniem widoku „świetlistej wyspy”... Pamiętam, jak wiele razy planując kolejny obraz przymierzałam się do naszkicowania zarysu świetlistych konturów starych świerków... Odwagi brakowało mi przez kolejne... lata!

Wierzyłam jednak, że moment, gdy będę gotowa do namalowania „świetlistej wyspy” kiedyś nadejdzie. I nadszedł. Tego lata.

Ustawiłam blejtram na sztalugach i zaczęłam wodzić miękkim ołówkiem po białym płótnie. Szare linie wyznaczyły plan. Przez kolejne dni pokrywałam szkic kolorami. Jest to naprawdę cudowne uczucie, gdy obraz istniejący w wyobraźni wypływa poprzez rękę i pędzel, po czym materializuje się w rzeczywistości. To jest właśnie boska radość tworzenia! Po kilku dniach nadszedł moment, gdy obraz potrzebował już tylko podpisu...

Patrząc na swoje dzieło autor doznaje całej mozaiki uczuć. Jeden z najcudowniejszych momentów następuje, gdy dostrzeżenie zachwyty na twarzach ludzi oglądających jego prace. Daje mu to dodatkowe uczucie wielkiego spełnienia.

Tworzenie daje radość na każdym swoim etapie. Dziś już wiem, że jest mi potrzebne jak pożywienie. Gdy wspominam cały trwający latami proces artystycznego rozwoju wiem, że najważniejszym jego elementem było zawsze podejmowanie próby. Próby zmierzenia się z nowym wyzwaniem. Pierwszym było namalowanie rzeki. Ten pierwszy obrazek nadal wisi w mojej małej pracowni i przypomina, że sama wciąż mogę się zaskakiwać, i że mierzenie się z nowymi przeszkodami dodaje nowych sił.

Barbara Bańka  
art@barbarabanka.com